

Z I E M I A

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
 DWUTYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY
 POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. I O. P.

WACŁAW OLSZEWICZ.

DZIEŁO KRAJOZNAWCZE EDWARDA MALISZEWSKIEGO.

Nieźródny autorytet we wszelkich sprawach kresowych, rzeczoznawca naszego Rządu w czasie zawierania pokoju ryskiego, ceniony publicysta i statystyk, historyk walk o wolność i wytrawny bibliograf, autor kilkudziesięciu dzieł i broszur, za największy zaszczyt swego pracowitego życia uważał umieszczenie swego nazwiska na liście współpracowników „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”.

Skromny, choć na zaszczyty zasłużył, szczerze oddany krajoznawstwu, choć nieraz los mu kazał pracować na innych polach, niezmordowany do ostatniej chwili w studjach nad przeszłością i teraźniejszością każdego kawałka ziemi polskiej, a marzący o jej wielkiej przyszłości—takim był i takim w pamięci naszej na zawsze pozostanie Edward Maliszewski.

Miał 22 lata, gdy redakcja „Słownika Geograficznego” w postłowie do t. XIV wymieniała go między swymi stałymi współpracownikami. Wcześniej zaczął pracę dziennikar-

ską i wcześniej dał się poznać jako erudyta we wszelkich kwestiach krajowych, umiejący o nich pisać z wielką lekkością, przystosowujący formę do zakresu dziennika czy tygodnika i wysoko dbający o czystość języka i stylu. W „Gazecie Polskiej”, w „Gońcu” czy w innej redakcji bardzo też był ceniony. Wzamięnian bardzo lubił zawód dziennikarza czy publicysty, a redakcja była dla niego nie tylko trybuną, której zawdzięczał możliwość zaznajamiania

opinii publicznej z ukochanymi przez się zagadnieniami; ona była też dla niego środkiem do zbierania dalszych materiałów. Z niezliczonych, a zgóry w każdej redakcji do kosza przeznaczonych ulotek, broszur i dzienników potrafił wyciągnąć zawsze coś ciekawego; lata takiej cierpliwości pozwoliły mu zebrać informacje, któreby inaczej zaginęły w niepamięci.

Zainteresowania miał szerokie: kiedyś ogromnie zajmowała go kwestja emigracji, studjował z zapalem Amerykę Południową i postępy koloni-



Ryc. 76.

Edward Maliszewski.

zacji polskiej w Paranie; z tem samem zamiłowaniem i znanstwem pisał ćwierć wieku później wyczerpującą recenzję książki konsula J. Włodka o Argentynie i emigracji naszej („*Ekonomista*”, 1923, t. II, str. 186 — 190). Współczesną sobie beletrystykę polską znał wybornie i umiał poznać się na prawdziwym talencie. Miał go sam, napisał kilka nowel, z nich dwie wyszły nawet w formie książkowej p. t. „*Z życia*” (Warszawa, 1899) jako premjum „*Gazety Polskiej*”. Ale do tej strony swej twórczości — pomimo wykazania niewątpliwych zdolności obserwacyjnych — nie przywiązywał żadnej wagi. Z coraz większym zapalem, z coraz lepszą metodą poddawał badaniom i opisywał zachodnie i wschodnie kresy Rzeczypospolitej, grzebał w starych rocznikach pism codziennych i wyławiał biograficzne i bibliograficzne dane do dziejów porozbiorowych, chętnie też studjował literaturę, dotyczącą Słowiańszczyzny i Bałkanów. Z głęboką pogardą dla materializmu kultury trzech zaborów łączył głęboką sympatję dla narodów, walczących o wolność. Z tej sympatii powstały w roku 1912 i 1913 dwie ładne i pożyteczne książeczki, jedna o Albanji, druga o Czarnogórze, obie napisane z wiarą, że „w życiu narodów niema tak ciężkich warunków, z których niepodobnaby się już było wydobyć”. Nie przestając zajmować się Słowiańszczyzną i po wojnie, mógł działać ten szerzej potraktować w wydany wraz z Bolesławem Olszewiczem „*Podręcznym Słowniku Geograficznym*” (Warszawa, 1925—1927), w którym opracował również cały dział Polski, a między innymi i artykuł „*Polska*”, wydany następnie w r. 1926 w odblasku w miniaturowym formacie p. t. „*Polska dzisiejsza. Zarys geograficzno-statystyczny*” oraz we francuskim tłumaczeniu p. t. „*La Pologne d'aujourd'hui*”.

Jeżeli kresy cieszyły się specjalnem umiłowaniem Edwarda Maliszewskiego, jeżeli w latach powojennych nie przestawał z największą uwagą śledzić życia Polaków poza granicami wskrzeszonej Rzeczypospolitej, to nie oznacza to bynajmniej, by miał nie zajmować się innymi dzielnicami Polski. Znał on je dobrze z osobistego poznania, przewędrowawszy je wszystkie. Góralszczyznę poznał przed wie-

lu już laty w Zakopanem, a wakacje letnie ostatnio chętnie spędzał na Podhalu, w bogatej w rozległe widoki Bukowinie lub na odzyskanej Orawie. Dzielnicą dawniejszą pruska znana mu była cała; jak znał np. Górny Śląsk, dowodzą recenzje książek Dudy i Dybczyńskiego („*Ekonomista*”, 1921, t. II, str. 177—179); jak się orjentował w nazwach poniemczonych Wielkopolski czy Pomorza, jak pilnował ich oryginalnego brzmienia, dowodzi recenzja bezimiennie w roku 1919 wydanego „*Skorowidza niemiecko-polskiego i polskoniemieckiego miast, miasteczek i większych wsi Prus Książęcych i Królewskich, W. Ks. Poznańskiego i Śląska*”. („*Ziemia*”, 1918, Nr. 36 — 43, str. 505/6). Nazwom geograficznym poświęcał zawsze jaknajwiększą uwagę; korzystał z każdej sposobności, żeby prostować obcą nam, a niestety rychło aklimatyzującą się nomenklaturę; bolały go błędne — z obcych map sztabowych czerpane — nazwy miejscowości w komunikatach naszego sztabu generalnego w kampanji białoruskiej w r. 1919 czy we wcześniejszych legjonowych, z czasów walk wołyńskich roku 1915 i 1916. Wystąpił też w „*Bellonie*” (lipiec, 1918 r., str. 560—562) „o nazwy miejscowości wołyńskich”, a w rok później we wznowionej „*Ziemi*” (Nr 33—35 w sierpniu 1919 r., str. 517—524) już z pracą ogólną, walcząc „o polskie nazwy geograficzne”, w obcych widząc bolesne dla naszej narodowej dumy ślady trójzaborczego jarzma. Pożyteczny, treściwy artykuł „*Ziemi*” wydany też został w odblasku (w 100 egz. Warszawa, 1919), co z pewnością przyspieszyło przywrócenie wielu miejscowościom ich należytych nazw. Również w Komisji dla (!) Atlasu Historycznego Polski zajmował się gorliwie tym tematem i opracował na wezwanie Komisji instrukcję w sprawie pisowni nazw miejscowych w zamierzonym Atlasie Historycznym, który ma wyjść nakładem Akademji Umiejętności.

Skoro o terminologii mowa, należy wspomnieć, z jaką przykrością stwierdzał nadużywanie nazwy „kresów wschodnich” nawet u tak cenionych autorów jak Leon Wasilewski lub Władysław Wakar, których prace z całym uznaniem oceniał w „*Ziemi*” lub „*Ekonomiście*”. Dla Edwarda Maliszewskiego kre-

sy—to były dalekie od stolicy ziemie zaodrzańskie lub zadnieprskie, Spisz, Inflanty lub jezioro gardańskie, ostoja ostatnich Słowińców. Kochał on te kresy całą duszą, dla której granice Polski sięgały daleko. Jak nam napisał w redagowanej wówczas przez siebie „Ziemi” (Nr 36—43 z października 1919 r.), „to co było niegdyś polskiem, dla serca polskiego pozostanie takim na zawsze”.

Najbliższe sercu było mu zawsze W. Ks. Litewskie i ziemie ruskie Korony. Poza artykułami rozrzuconymi po dziennikach przedwojennych, wiele o nich pisał w „Ziemi”, w drobnych napozór, ale cennych i pracowitych recenzjach map Spetta (1910, Nr 18) czy Bazewicza (1912, Nr 10), książek J. Bartoszewicza (1912, Nr 47), L. Wasilewskiego (1913, Nr 7) i t. d. W r. 1914 drukuje w „Kalendarzu Gońca” pracę p. t. „Polacy i polskość na Litwie i Rusi”, wydaje ją również w odblasku, a w dwa lata później wychodzi drugie jej wydanie, definitywnie ustalające Edwardowi Maliszewskiemu opinię pierwszorzędnego znawcy problemu narodowościowego, opanowującego go nie w charakterze publicysty, ale człowieka nauki. Tę słuszną opinię zawdzięczał niezmiernemu obiektywizmowi, z jakim się do spraw rozsiedlenia i liczebności narodu odnosił bez ujmy dla swego gorącego patriotyzmu. Ten sam obiektywizm—pomimo szczerego uznania dla dobrej woli i pracowitości autorów—ujawnił, zdając w „Ekonomiście” sprawę z mapy Wł. Wakara i Tad. Sturm de Strema (1920, t. IV, str. 33—36) lub z prac statystycznych Eug. Romera i J. Czekanowskiego (1918, t. II, str. 166—180). Recenzje te są tem ważniejsze, że zawierają niesłychanie cenne wskazówki metodologiczne co do właściwych sposobów obliczania ludności polskiej, wskazówki, z którymi zapoznać się powinien każdy krajoznawca i statystyk, pragnąc znać rzeczywisty stan rzeczy. Równie ważne z tego punktu widzenia są dwa artykuły Maliszewskiego w organie Straży Kresowej „Wschód Polski”, w których próbuje on obliczyć obszar i ludność ziem zajętych wówczas na wschodzie (Nr 1 z grudnia 1919 r., str. 29—35) i ocenia dodatnio spis ludności, dokonany tam w grudniu 1919 r. (Nr 10 z października 1920 r., str.

14—21). W temże piśmie, w styczniowym zeszycie 1922 r. pojawia się piękne studjum p. t. „Polacy na Łotwie” (str. 35—56), wydane następnie w odblasku, zwięzłe, choć z bogactwem dat i liczb, przedstawiające przeszłą i obecną sytuację żywiołu polskiego w Inflantach Polskich.

Taki znawca stosunków narodowościowych wschodniej części terytorjum Rzeczypospolitej miał prawo—podobnie jak miał możliwość—rzeczowo i ostro rozprawić się z Czesławem Jankowskim, który w broszurze p. t. „Naród polski i jego ojczyzna” na wiosnę 1914 r. podjął kampanję za wycofaniem się z t. zw. kresów, a nawet nietylko z prawdziwych odległych kresów, ale z całego „kraju zabranego” i za ograniczeniem się do „Polski etnograficznej”. P. t. „Program okrojenia Ojczyzny” odpowiedział mu Edward Maliszewski w „Gońcu Wieczornym” z dnia 16 i 17 marca 1914 r., liczbami i chłodnym rozumowaniem udowadniając nonsens takiej koncepcji, którą następstwa wojny wprost ośmieszyły. Wbrew Jankowskiemu stwierdził, że „ojczyzna nasza jest wszędzie tam, gdzie zrosiliśmy się z ziemią od wieków”.

W pięć lat później miał Maliszewski satysfakcję opisywania granic wolnej już ojczyzny. Uczynił to w I zeszycie wydawnictwa p. t. „Co to jest Polska”, redagowanego przez Henryka Mościckiego. „Granice Polski” zostały tu przedstawione z uzasadnieniem historycznym. Uzupełnił niejako tę pracę wydawnictwem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych w Polsce p. t. „Stosunki narodowościowe w Rzeczypospolitej Polskiej” (Warszawa, 1923).

Równoległe z pracami krytycznymi wydawał Maliszewski szereg popularnych broszur krajoznawczych o Wołyniu, Śląsku, Pomorzu, Grodzieńszczyźnie, z jednakową swobodą poruszając się na rozległym obszarze ziem polskich. Było mu też dane przedstawić graficznie swoją koncepcję stosunków narodowościowych w formie „Mapy narodowościowej ziem polskich”, wydanej w r. 1919 z objaśnieniem w podziałce 1:2.000.000 staraniem Wład. Wakara, Henryka Kołodziejkiego i kilku innych osób, zrzeszonych w Biurze Pracy Społecznej. Mapa ta stanowi cie-

kawą próbę i pozostanie cennym nabytkiem w naszej kartografii. Nie była to jedyna jego praca kartograficzna: w roku następnym z Tadeuszem Sturm de Strem wydaje „Mapę Polski” w styczniu 1920 r. (w skali 1 : 4.000.000 a w r. 1922 znowu sam „Mapę etnograficzną Europy” (w skali 1 : 6.000.000).

Z wielkim pietyzmem redagował Maliszewski w latach 1919 i 1920 „Ziemię”, której współpracownikiem był od drugiego numeru jej pierwszego rocznika, t. j. od stycznia 1910 r. Roczniki tego pisma pełne są jego artykułów, notatek i recenzyj. Gdy o recenzjach mowa, nie można nie stwierdzić ich stałej i rzeczywistej wartości, która nasuwa porównanie z dłuższymi może, ale nie bardziej krytycznymi sprawozdaniami Stosława Łaguny lub Aleksandra Rembowskiego.

Działalność autorska i redakcyjna na polu krajoznawstwa, obfita i wielostronna, nie wyczerpywała czasu ani myśli Edwarda Maliszewskiego. Niezmierna systematyczność w pracy, zasobna i doborowa biblioteka, spokojna, serdeczna atmosfera rodzinnego otoczenia pozwoliły mu równolegle, z niemniej wydajnymi rezultatami oddawać się badaniom historycznym. Ograniczył je celowo i świadomie do dziejów XIX wieku. Zbierał materiały do słownika biograficznego uczestników walk o wolność i pozostawił notatki niezmiernie bogate na podstawie przejrzania w Bibliotece Ordynacji Krasieńskich, w sprowadzonych do kraju zbiorach rapperswilskich i w innych bibliotekach niezliczonych roczników czasopism. Z największą pracowitością wyszukiwał i wszelkie inne źródła, zwłaszcza dla poznania powstania styczniowego; odwiedzał żyjących jeszcze powstańców, pozostałe po nich wdowy i dzieci i doszedł nietylko do jedynej w swoim rodzaju kolekcji alfabetycznie ułożonych biografii, ale i do cennego zbioru oryginalnych fotografii, notatek i pamiątek. Miało to być podstawą złotej księgi powstania styczniowego, której dziś już nikt tak napisać nie potrafi. Wykończenie dzieła i wydanie go oddzielnie, a nie zużytkowanie jako materiału do szerszego słownika biograficznego czasów porobiorowych, wydaje mi się bliższe myśli Maliszewskiego, który dzieje styczniowego po-

wstania w najdrobniejszych szczegółach poznał i przekazać pragnął potomności.

Wyjątkowej tylko pracowitości zawdzięczał swe rezultaty.

„Mój słownik biograficzny powstańców 63 r. — pisał w liście z dnia 8 kwietnia 1925 r. — tak już urósł, że obejmuje około 30 tysięcy osób... Jest to wprawdzie istotne „morze do wypicia”, praca, która nigdy nie może być zupełnie zakończona, uważam jednak, że jeżeli tylko uda mi się wyczerpać cały materiał z archiwum na Jezuickiej (czego już jestem dość bliski), to rezultat ten, właśnie z tem, co już mi się udało zdobyć z innych archiwów: wileńskiego, kijowskiego, lwowskiego wraz z informacjami z książek i pism, a także z wiadomościami, otrzymanymi bezpośrednio od uczestników i ich rodzin — może istotnie wytworzyć już pewną zaokrągloną całość. Jest rzeczą możliwą, że już w roku przyszłym rozpocznę wydawnictwo swego zbioru”.

Zamiar się nie ziścił. Za to po pismach porozrzucał Maliszewski notatki o rocznicach walk, o poetach — powstańcach i t. d., wydał też źródłowe studjum o „Roku 1863 na kresach Mohilewskiej” (Warszawa, 1920). Znakomicie ułatwił pracę swoim następcom w badaniu roku sześćdziesiątego trzeciego napisaniem dla „Bellony” kilku drobiazgowych recenzyj, zwłaszcza zaś artykułu, umieszczonego w r. 1919 w № 2 i 3, tomu II, a następnie wydanego w odbitce w 100 egz. p. t. „Wydawnictwa z lat ostatnich o powstaniu styczniowym (1910 — 1918) (Warszawa, 1919, str. 2—17). Jest to w rzeczywistości więcej, niż obiecuje tytuł, bo prawdziwy wstęp do badań nad tym okresem naszych dziejów, zakończony stwierdzeniem dwóch pilnych potrzeb: bibliografii powstania i słownika biograficznego jego uczestników. Kilka jeszcze lat życia Edwarda Maliszewskiego, a mielibyśmy i jedno i drugie spełnione. Przedwczesny jego zgon stanowi dla studjów nad rokiem sześćdziesiątym trzecim szkodę niepowetowaną.

Wielostronnego umysłu nie zadowolał jeden temat, choć tak umiłowany, choć tak drobiazgowo badany. W przytoczonym już liście pisze Maliszewski:

„Wziąłem się już pozatem do innej wielkiej roboty, którą zresztą traktuję narazie jako wypoczynek po pracy nad słownikiem „geograf. i biograf.”. Zacząłem mianowicie robić cały szereg biblijografij. Jest to jak gdyby echo dawnych prac biblijograficznych, nad którymi pracowaliśmy kiedyś wspólnie w większym gronie. Zaczęło się to stąd, że zacząłem uzupełniać na kartkach w owych dawnych czasach biblijografię Wołynia, która interesuje mnie najbardziej. Jednocześnie niemal zacząłem robić biblijografię pamiętników i wspomnień polskich lub Polski dotyczących. Ponieważ za rzecz przytem najważniejszą uważałem wynotowanie prac, rozproszonych po czasopismach, wzięłem się do kolejnego badania zawartości różnych roczników. Przy zetknięciu się jednak z tą robotą doszedłem do wniosku, że nie opłaca się tu zamykanie w paru tylko tematach — i wobec tego rozszerzyłem ramy swych poszukiwań. Ostatecznie robię (choć oczywiście bynajmniej nie wiem, czy zrobię, bo to praca olbrzymia) biblijografię następujące: krajoznawczą (cała Polska histor. i etnogr.), pamiętników i wspomnień, Syberji i Kaukazu (oczywiście tylko polskie), wreszcie biblijografię polskiej toponimji, czyli wszelkich artykułów, związanych z nomenklaturą geograficzną ziem polskich. Przejrzałem już komplety niektórych czasopism i wydestałem z nich wszystko potrzebne. O ile zdrowie i warunki dopiszą, zajmie mi to znowu lat kilka. Kartek mam przygotowanych kilkadziesiąt tysięcy, a zapisanych bodaj już blisko dziesięciu tysięcy”.

Większe grono, które Maliszewski tu wspomina, to Komisja biblijograficzna P. T. K., która w czasie okupacji niemieckiej pracowała nad biblijografią krajoznawstwa polskiego, mając do dyspozycji obfity materiał kartkowy. Został on zebrany przez osoby, korzystające z zapomóg Komitetu Obywatelskiego, udzielanych w formie honorarjum za inwentaryzację treści krajoznawczej roczników czasopism. Kierował pracą tą Bolesław Olszewicz, ówczesny biblijotekarz P. T. K., inicjator Komisji, która za zadanie miała ustalenie metod wydawniczych, przejrzanie i zakwalifikowanie kartek, rozłożenie materiału. Posiedzenia Komisji od-

bywały się w ówczesnej bibliotece P. T. K., mieszczącej się w jednym małym pokoiku na I piętrze domu № 27 w Alejach Jerozolimskich, w którym P. T. K. w ciągu wielu lat miało swą siedzibę.

Niezapomniane posiedzenia! W skład Komisji wchodził zamiłowani krajoznawcy, szczęśliwi, że chociaż myślą wybiec mogą poza granice Warszawy w czasie, gdy wycieczki krajoznawcze były prawie niemożliwe. Polityka nigdy nie była tematem rozpraw na posiedzeniach Komisji. Zapełniała je bądź szczegółowa naukowa dyskusja, bądź luźna pogawędka na temat literatury krajoznawczej. Ostatnie miesiące okupacji nie były czasem dla takich zebrań odpowiednim, a tem mniej pierwsze miesiące niepodległości. Komisja biblijograficzna przestała się zbierać, a członkowie jej, którzy jeszcze dziś po 11 latach wspominają jej posiedzenia jako chwile prawdziwego umysłowego wypoczynku, rozpięchli się po świecie. Polityce oddali się dwaj: Stanisław Thugutt w Warszawie, Ludwik Abramowicz — w Wilnie. Teatr i księgarstwo wydawnicze pociągnęły Mieczysława Rulikowskiego. W literaturze historycznej orderowej wyspecjalizował się kpt. Stanisław Łoza. Jako biblijotekarz i profesor Wyższej Szkoły Handlowej zamienił Warszawę na Poznań Bolesław Olszewicz, współautor z Maliszewskim „Słownika Geograficznego”. Z pozostałych czterech członków Komisji nie żyje już trzech: Ignacy Tadeusz Baranowski, dyrektor Biblioteki ord. Krasińskich, wzór biblijotekarza, a równocześnie głęboki znawca wewnętrznych dziejów Polski, Marjan Abramowicz, wszechstronnie wykształcony i mający wstręt do pióra, tem chętniej swą wiedzą wspomagający każdego piszącego, tak świetnie oddany we wspomnieniu pośmiertnem, jakie mu poświęcił przyjaciel, Stefan Żeromski, oraz Edward Maliszewski, który w Komisji nie zadowolili się współpracą w zakresie swych rozległych zainteresowań, ale wystąpił z inicjatywą, gorąco przez kolegów z Komisji popartą. Prace Komisji nad wydaniem biblijografji krajoznawstwa polskiego były obliczone na lata wobec obfitości materiału kartkowego i konieczności jego uzupełnienia poza Warszawą. Maliszewski podjął myśl wydania podręcznej biblijografji krajoznawczej, a Komisja ochoczo

przystąpiła do przedyskutowania wyboru tytułów, dokonanego przez każdego z członków dla pewnej części zagadnień krajoznawczych. Sam inicjator opracował Wołyń, Podole, Ukrainę, Śląsk Górny i Cieszyński, Inflanty Polskie

i Kurlandję oraz Polonję amerykańską. W roku 1918 praca była już daleko posunięta, wydaniu na przeszkodzie stał jednak brak gotówki i do ostatecznego wykończenia rękopisu nie doszło. (Dok. nast.).

STANISŁAW WARCHOLIK.

NA „TRÓJKĄCIE ZJEDNOCZENIA”.

Jest w Polsce miejsce, gdzie zeszyły się trzy rozdarte wiekową przeszłością niewolą, gdzie złączyły się w jedno zjednoczone, zespolone ciało matki Rzeczypospolitej, przedzielone do niedawna kordonami, odgraniczone słupami, strzeżone bagnetami, dzielnice nasze wyrwane z rąk zaborczych. Co więcej stykają się tu nie tylko trzy zabory, ziemie trzech dawnych potęg, które państwo nasze rozdarły, ale styka się tu z resztą kraju odwieczna kraina piastowska, która już dawno, bo przeszło przed pół tysiącem lat od Polski odpadła, ale która nie zatraciła mimo wszystko ducha polskiego i do Macierzy-Polski nawet poprzez stawiający opór wrogie szeregi obcych wojsk, w trudzie nieustępliwym i trzykrotnym boju do Polski i Zjednoczenia z nią dążyła.

Wiadomo, że mam na myśli piastowską krainę śląską, która przypierając w swej południowej części do ziem dawnych zaborów rosyjskiego i austriackiego, stała się niejako łącznikiem tych ziem z zaborem pruskim.

Tam gdzie jeszcze niedawno wznosiły się dumnie granitowe słupy trzech cesarzy, gdzie straż graniczna do niedawna zatrzymywała brutalnie naszych rodaków sąsiadujących o międzę, tam dziś spokojnie odbywa się komunikacja między trzema złączonymi dzielnicami. Czasem tylko zatrzyma się przechodzień nad zbiegiem trzech dawnych granic, gdzie zlewają się wody obu Przemsz, przypomni sobie dawne czasy, jak to przekradał się tędy ku sercu Polski: do Krakowa na uroczystości narodowe; wtedy mimowoli przyjdą mu na myśl słowa Starowolskiego u trumny Łokietkowej wyrzeczone do króla Karola Gustawa: „szczęście jest zmienne, a Bóg cuda czyni”.

Miejsce to znane było przed wojną pod nazwą „Dreikaiserecke” i słynne było z róż-

nych państwowych manifestacji wzajemnie odbywanych po trzech stronach, jakoby dla zamianowania stałej łączności sąsiedzkiej i wiecznej wspólnoty istniejących granic. Do dziś dnia jeszcze dojrzeć można ślady tej sąsiedzkiej serdeczności i gościnności, w parku i gospodzie, zwanej do niedawna „Gasthaus am Dreikaiserecke”, gdzie widnieją jeszcze na bramach, werandach parku, oraz w sali gospody barwy trzech zaborczych państw.

Jedynie herby obce usunięto. Huczne tu odbywały się zabawy przy dźwiękach kapeli wygrywającej naprzemian hymny trzech cesarzy, a wszystko to miało wpoić uświadomienie w umysły mieszkańców tych okolic a może i wszystkich Polaków, że granice te są nieniszczalne.

Ale sielankę tę przerwał pewnego pięknego poranku lipcowego odgłos gromów, jakie usłyszano na trójkącie, a które pochodziły wskutek wysadzania mostów na Przemszy przez jedno z zaprzyjaźnionych państw, sąsiadujących na trójkącie „cesarskim”.

Tak padły słupy graniczne w r. 1914 istniejące zresztą nie od tak dawnych czasów. Zeszyły się bowiem te mocarstwa tu dopiero w 1846 roku po wcieleniu obszaru Rzeczypospolitej Krakowskiej do Austrii, a więc to wspólne sąsiedztwo nie było w tym miejscu tak stare, jeśli przypomni się znów lata 1795 — 1807, w których państwa te po trzecim rozbiórce Polski, aż do czasów napoleońskich sąsiadowały nad Bugiem w okolicy Niemirowa i Mielnika.

O ile jednak granica od strony rosyjskiej była niedawna, o tyle sama linja graniczna tych okolic była już bardzo stara, a sięga czasów odpadnięcia Śląska od Polski, a więc czasów Łokietka, względnie Kazimierza W.

Możnaby nawet granicę tę przenieść do czasów późniejszych, t. j. do czasów zakupna przez biskupa Oleśnickiego księstwa siewierskiego, względnie księstw oświęcimskiego i zatorskiego przez Kazimierza Jagiellończyka, kiedy to granica ta uzyskała wygląd zbliżony do przedwojennego, jeśli chodzi o granicę między Śląskiem a Polską, względnie później ks. Warszawskim, a później Królestwem Polskim i Austrią. Jednak i tu znajdziemy pewne przesunięcia i regulacje, które nastąpiły po rozbiorach. Np. część ziem leżąca po prawej stronie Przemszy dolnej w okolicy wsi Chełma wraz z nią należała do Polski, przy drugim podziale Polski ziemie dostały się Prusom, a nie Austrii, która w drugim podziale nie brała udziału i ziemie te już podczas stworzenia ks. Warszawskiego, czy Rzplitej Krakowskiej nie powróciły doń, aż dopiero obecnie.



Ryc. 77.

„Trójkąt Zjednoczenia”.

też rzeki, podobna u wszystkich rzek płynących z północy, a mianowicie, że przesuwają swój bieg ku zachodowi, zostawiając po lewej ręce stare opuszczone koryta, pełne łach, z czasem zamieniane na pastwiska, uprawiane od czasu do czasu mulastemi, urodzajnymi aluwiami wylewającej Przemszy. Niektóre partje Przemszy jak też jej dypływu Rawki zostały przez nasze władze śląskie uregulowane, czego przez długi czas dotychczasowi panowie tego kraju uczynić nie potrafili czy zaniechali. Dorzecze tej rzeki niewielkiej, ma znaczenie z tego powodu, że jest to arterja komunikacyjna ważna i wygodna dla drogi wodnej prowadząca w dorzecze Wisły, którą już przed wojną na niewielką skalę, a dzisiaj coraz to bardziej rozwija się transport węgla śląskiego w głąb ziem południowych Polski.

To też w przyszłości ma stanąć tu u stóp wzgórz myśłowickich port rzeczny dla transportu węgla z kopalń śląskich i dąbrowskich. Z tą chwilą niezaprzeczenie trójkąt ten stanie się punktem zbornym, koncentrującym ruch handlowy w kierunku na wschód. Ku temu zmierzają projekty budowy dróg kolejowych, lub też już przeprowadzone linje kolejowe, jak Myślowice—Oświęcim, Myślowice—Szczakowa, a z drugiej strony Myślowice—Katowice, Myślowice—Janów, niedawno wybudowana, lub w projekcie będąca budowa linji Myślowice—Sosnowiec. A ku temu trzeba jeszcze dodać linje lewobrzeżne, Sosnowiec—Niwka, oraz Niemcy—Maczki, których połączenia do-

Nietylko ze względów politycznych te ziemie zasługują na uwagę, lecz może bardziej jeszcze ze względów fizjograficznych, jak też antropogeograficznych.

Ziemie te należą do całości geograficznej, której nadajemy nazwę Wyżyny śląskiej, jednak tworzą one bezsprzecznie i pod względem geologicznym i pod względem morfologicznym pewną całość. Jest to dorzecze rzeczki Przemszy, która płynie w uskoku tektonicznym sama, lecz całość jej dorzecza obejmuje dzisiejsze zagłębienie śląskie i dąbrowskie, stąd słusznie mogące się zwać zagłębieniem Przemszy. Tak sama Przemsza, jak jej dopływy przepływając po krainie wysłanej alluwiami miały bieg kapryśny, kręty, tworząc liczne meandry, bagna. Wpływać mógł na ten stan rzeczy i obsekwentny charakter tej rzeczki, która płynąc ze wschodu nachylała się ku dorzeczu Odry, gdy przyjąwszy niewielką Brynicę płynącą z północy skręciła nagle ku południowi, wykorzystawszy zapadłość tektoniczną. Ponadto zauważyć się daje jeszcze jedna właściwość

maga się życie, z linjami prawobrzeżnymi. W ten sposób trójkąt ten stanie się rzeczywiście trójkątem zjednoczenia nie tylko politycznego, ale i gospodarczego ziem, które on istotnie łączy.

Ubogi do niedawna, bezludny ten zakątek, niegdyś pokryty słabo rozwiniętymi lasami, z powodu nieurodzajnej gleby, tu i ówdzie zamieszkały przez przemytników uprawiających swój niebezpieczny zawód na wszystkie trzy fronty, dzisiaj zaczyna się zaludniać i zmieniać swój wygląd. Trzy dotychczasowe skupienia ludności w trzech odrębnych państwach rozwijające się własnym odrębnym życiem, obecnie zbliżają się do siebie i wspólnie zaczynają się rozwijać w innym niż dotychczas kierunku. Są to po prawej stronie Przemszy u zbiegu Białej i Czarnej oraz Brynicy: Mysłowice, miasteczko stare, pochodzące z czasów początku istnienia państwa naszego (pierwsza notatka znajduje się pod rokiem 1105, wymieniająca „Mysłosowice”, pomyłka pisarska), jako miejscowość wchodzącą w skład dóbr należących do opactwa tynieckiego. Odtąd Mysłowice rozwijały się, jako miejscowość leżąca przy szlaku handlowym, prowadzącym ku Krakowowi; nic też dziwnego, że zostały miastem, o czym dowiadujemy się z notatki z 1379 r. Miejscowość ta odgrywała rolę w historii we wszystkich ważniejszych momentach, jakie toczyły się u granic południowo-zachodnich Polski. Tędy przeszła burza wojenna w walce o tron polski po śmierci Stefana Batorego, gdy Maksymilian austriacki usiłował zająć podstępnie Kraków, i gdy pobity cofał się na Śląsk. Oddziały polskie w pościgu za nim dosięgły Mysłowic i zniszczyły je. To samo powtórzyło się za Zygmunta III., gdy z pomocą Habsburgom przybyły wysłane przez Zygmunta oddziały bitnych, lecz łupieżczych Lisowczyków. Widziały Mysłowice jakiś oddział wojsk polskich należący do armii polskiej, którą wiódł na słynną odsiecz król Jan Sobieski pod Wiedeń. Tu toczyły się walki wyzwolenie powstania polskiego wywołanego na rozkaz Napoleona w 1806 r. przez ludność polską na terenach ziem pruskich i Mysłowice jakiś czas były w rękach wojsk polskich.

Powstanie 1863 roku odbiło się tu żywym echem, o czym świadczy szereg krzyży w okolicy Mysłowic z datą 1863 r.

Tu w 1846 r. przechodzi z niewielką swą armją nieszczęśliwy dyktator powstania krakowskiego Tysowski, składając broń w ręce wojsk pruskich.

Tu toczą się potyczki podczas wojny austriacko-pruskiej i tu wysadzeniem mostu na Przemszy zaczyna się wielka wojna światowa.

Miasto zamieszkałe było, jak zresztą i inne miasta Śląska Opolskiego, przez ludność polską. Mysłowice szczególnie były polskie a to wskutek swego nadgranicznego położenia, oraz wskutek tego dość osobliwego wypadku, że choć miasto jak cały Śląsk, nie należało do Polski, mimo to ta jego część podlegała biskupstwu krakowskiemu, zaś na odwrót znów parafia myślowicka poprzez słupy graniczne obejmowała miejscowości leżące w Polsce, jak Klimontów i Siedlce i to aż do roku 1819., t. j. do czasu oddzielenia części śląskich od diecezji krakowskiej, a przydzielenia do diecezji wrocławskiej. Dzisiaj miejscowości te mają swe parafje w Niwce: wiosce leżącej w widłach tego trójkąta, utworzonego przez połączenie się obu Przemsz Białej i Czarnej. Że ludność do ostatnich czasów była polską i że używała języka polskiego najlepszym dowodem liczne dokumenty rady miejskiej i magistratu myślowickiego, które to korporacje używały języka polskiego w urzędowaniu nawet podczas przynależności politycznej Śląska do Czech, jak i później za czasów pruskich, dopóki nie przeprowadzono centralizacji i jednolitości administracyjnej. Miasto rozwijało się dzięki swemu nadgranicznemu położeniu; tędy szedł handel wyrobów przemysłowych na wschód do b. Galicji, a ze wschodu handel produktów rolnych, bydła i surowców a przedewszystkiem gęstym strumieniem przelewała się fala robotnika polskiego, spieszącego corocznie na roboty do Niemiec. Poza tem mieszkańcy żyli z przemytu. Do dziś dnia pokazuje się w Mysłowicach domy wystawione bądźto za pieniądze zdobyte na dostarczaniu żywego towaru roboczego z Polski, bądź na przemycie. Jak anegdutki wyglądają dziś opowiadania o rurkach gumowych znacznej długości zapuszczanych z dziedzińca domu przylegającego do Przemszy, podczas gdy drugi koniec wystawał gdzieś na łąkach sąsiedniego Modrzejowa, wyglądające-

go dziś raczej na przedmieście Mysłowic, a sokami ich żyjący, jak dawniej tak i dziś. Osada ta, mająca wybitny typ osady przemysłniczej, dziś jest istotnie schronieniem biedniejszej ludności, a administracyjnie o dziwo należy do odległego o trzy klm. Sosnowca, tworząc osobną dzielnicę.

Wygląd jej dziś zmienił się, dzielnica otrzymała bruki i drogi bite, chodniki i czystość, lecz domki jeszcze nie wykazują takiego rozmachu przemysłowego, jak w sąsiednich Mysłowicach. Szkoła, umieszczona w dawniejszych barakach straży granicznej rosyjskiej, razi swym wyglądem i odbija od szkół śląskich.

O ile Modrzejów ma charakter osady starszej, co zachowało się nawet w budownictwie miejscowym, o tyle nową i zupełnie do warunków miejscowych przystosowaną jest osada na terenie byłego zaboru austriackiego, zwana Jęzor, którą to nazwę zdaje się przyjęła od długiego pasa ziemi wciskającego się weń od strony zaboru rosyjskiego w Niwce.

Kilkanaście prowizorycznie wybudowanych na pustkowiu domów, mających służyć za schronienie i oparcie się dla przemysłników, nadawało wybitną cechę typowego osadnictwa tymczasowego. Dziś ulega ono zmianie na stałe i rozrasta się, co widać w systemie trwalszej budowy i staranności w obejściu. Trójzaborowe budynki celne objęła dziwnym zrządzeniem losów jedna polska Dyrekcja cel w Mysłowicach. Na Jęzorze stoi jeszcze do dziś dnia żelazny mostek, służący dla miejscowego ruchu granicznego, a używany i wykorzystywany sprytnie przez ludność całego Śląska podczas gromadnych wycieczek do Krakowa, szczególnie przez tych, którzy pozostając w służbie pruskiej nie chcieli swą osobą zwracać uwagi swych władz na głównych stacjach pogranicznych, na których kręciło się

wiele tajnej policji, baczącej pilnie na wyjeżdżających, szczególnie podczas wielkich uroczystości narodowych w Krakowie. Naprzeciwko wznosi się wieża Wolności, ongiś Bismarka, wystawiona przez rząd pruski, jako symbol niewzruszalności granic państwa pruskiego.

Wszystko, jak sen znikło... pozostał tylko ten sam lud, który tu ongiś przed wiekami był, jako dowód, że trwalszy tu jego byt nad tych, którzy tu byli, ale już „nie są”.

.....

Czyż nie jest rzeczą godną, aby temu tak ważnemu, a ciekawemu ze wszechmiar miejscu nadać miano „Trójkąta Zjednoczenia”, skoro zjednoczyły się tu w tym miejscu trzy rozdarte przez trzy zaborcze potęgi dzielnice Polski i jednoczą się nie tylko pod względem politycznym, ale gospodarczym i kulturalnym. Wszak i dziś Mysłowice stają się, jak wykazaliśmy na początku, ośrodkiem ruchu handlowego, skąd rozchodzą się w różnych kierunkach drogi handlowe, wszak stają się centrem znów ruchu towarowego, szczególnie w handlu bydła, wskutek wybudowania Centralnej targowicy kosztem paru milionów złotych, urządzonej według najnowszych wymogów sanitarnych, specjalnie w celu skupienia tu eksportu bydła za granicę. Tu również został skoncentrowany ruch emigracyjny na zachód sezonowego robotnika polskiego. Są to więc wielkie wrota na wschód i zachód, a znaczenia światowego tych wrót można domyślać się w przyszłości i rokować mu jak najlepsze nadzieje.

Kończąc tych słów parę, nie można wstrzymać się od nasuwającej się uwagi: w jaki to sposób miejscowości zamarłe i bez życia, rozdzielone kordonami, ożywiają się przy jednoczeniu i odwróceniu wskutek tego dotychczasowych dróg handlowych.



WŁÓCZĘGI KRAJOZNAWCZE OPOWIADAJĄ...

WIZYTA U „BIAŁEJ DAMY Z LEWOCZY”.

Dopiero ubiegłego lata udało mi się odwiedzić tę, której romantyczna historia podnieciła niegdyś mą wyobraźnię chłopięcą... Dwadzieścia parę lat temu nie miała młodzież tyle swobody w wyborze swej lektury, co dziś. Istniały pod tym względem bardzo surowe, aczkolwiek niepisane prawa. Do takich „zakazanych” książek należała również powieść słynnego pisarza węgierskiego Maurycyego Jokay’a p. t. „Biała dama z Lewoczy”. Pamiętam doskonale jak fascynująco podziało na mnie samo brzmienie tytułu, wytłoczonego złocistymi literkami na czerwonej okładce „Biblioteki dzieł wyborowych”. Oczywiście, nie zastosowałem się do zakazu i przeczytałem pokrywającemu wojowniczo-poetyczny romans o tej, która zdradziła i wydała podstępnie warowny gród Lewoczę wojskom habsburskim.

Dawno już treść tej romantycznej historii wywietrzała mi z głowy i zatarła się w mej pamięci. Zapomniałem nie tylko o samej Lewoczy, ale nie zdawałem sobie nawet sprawy (cóż za hańba dla krajoznawcy!), gdzie się owa Lewocza znajduje. Dopiero parę lat temu doskonały „Przewodnik po Spiszu, Orawie, Liptowie i Czadeckiem” Dr. M. Orłowicza wywołał dawno wyblakłą zjawę lat dziecinnych i dowiódł czarno na białym, że zrealizowanie daw-

nych marzeń nie jest znów tak wielką niemożliwością.

Szlak wiodący do starożytnej Lewoczy prowadzi przez prastare polskie dziedziny, których wspomnienia wyryły się głęboko na kartach naszej historii. Toż aby złożyć wizytę widmu, błakającemu się podobno dziś jeszcze po średniowiecznych zaułkach miasteczka, należy przeciąć starożytne terytorjum słynnych trzynastu miast spiskich, zastawionych w 1412 r. Polsce przez Zygmunta Luksemburczyka za 37.000 kóp groszy praskich. Lewocza zaś była stolicą jedenastu miast, czyli reszty Spisza, które pozostały przy Węgrach.

Po długich naradach zdecydowaliśmy, że punktem wyjścia naszej wycieczki będzie przystanek kolejowy Lasek za Nowym Targiem, skąd przez Gorce, Lubań i Marszałek dotrzemy do Krościenka. Z Krościenka zaś mieliśmy powędrować Pieninami przez przełom Dunajca do Starej Wsi, a stamtąd już przez Magorę Spiską do Białej, Kieżmarku i Lewoczy.

* * *

Cudowne lipcowe popołudnie... W lazurkowym wonnym powietrzu drgają dzwoniące punkciki skowronków. Sianokosy w pełni. Na rozległych „młacnych” błoniach pod wsią Obidową połyskują srebrno-modre brzeszczoty kos, śmigają cyfrowane portki kosiarzy, tęczą barwne chustki dziewczuch. Rażno uwijają się grabie. Gdzieś z pobliskiego „wirsycka” ktoś schodzi „śpiwający”:

„Zieleń ze się zieleń ty zielona rówień...”

Mijamy pięknie zabudowane wsi Obidową i Klukuszową. Okazałe chałupy „nie z jakim tam hojco trzeciaków, ba z płazów, co lepsyk i w Orawicach nie najdzie”. Tylko węgły i futryny inszą modą niż u zakopiańców, bo malo-



Ryc. 78.

Lewocza. Widok ogólny.

wane. Wieś długa jak lichy (jeśli wogóle lichy ma długość i szerokość). Chciałoby się już podepchać do lasu i wziąć w góry ku Turbaczowi, aby prędzej przed wieczorem jeszcze zejść do schroniska lub znaleźć w pobliżu grzbietu jakiś odpowiedni szałas. Mijamy okazały, murowany kościół z bogatą plebanją i aż do ostatnich chat posuwamy się wciąż w górę malejącego, lecz coraz to bardziej szumnego potoku. Czernią się nad nim nie tylko, jak to w górach bywa, wysmukłe jędrze, lecz szmerzą piękne grupy starych jasieni, jaworów, „skorus” (jarzębin) i „świercków” (modrzewi). Nareszcie ostatnia ława przez potok. Okute buty zgrzytnęły po kamieniach, „zazbyrały po skałach ciupagi”. Stromo do góry, jak wąski, ciemny korytarz, wrzyna się leśna droga w smrekowy gąszcz.

Koniec osiedli ludzkich...

Teraz już będziemy się piąć aż do samego Turbacza.

* * *

O przedziwny, czarowny uroku lipcowego świtu w górach!

Tylko co pogasły ostatnie gwiazdy i wielka jasność pnie się na niebo kędyś z lewa... A my po źle przespanej nocy pod okapem kurnego szałasu „dorabiamy” ostatni odcinek drogi na Turbacz. Szkliste, perliste, nieomal białe rosy zawisły na gęstych trawach niczem grube srebrne nici, oblepione połyskliwą śręnią mrozu. Dobra to wróżba—zapowiedź czystej „jak oko” pogody.

Już stanęliśmy pod olbrzymim znakiem tryangulacyjnym, ustawionym na szczycie z wielkich belek. Duże wściekły wiatr z północ-wschodu. Szczękamy zębami i narzucamy na siebie płaszcze, lecz nie możemy zdobyć się na to, aby ukryć się w jakimś bardziej zacisznym miejscu. Zatrzymuje nas cud poranne-go krajobrazu, transponujący wszystkie zmysły nasze na jeden jedyny... zmysł wzroku. Ponad krańcami wielkiej podhalańskiej równi, ponad lotniami mgłami, zasnuwającymi nieskończoną szachownicę odległych poletek, wyrósł niespodzianie ukochany kształt Tatr. Znamy go od tyłu lat, witamy się z nim corocznie, wiemy, że w tem, a nie w innym być powinien miejscu, a jednak jest dla nas niespodzianką i cudem. Potężny skalny grzebień rżnie ostremi zębca-



Ryc. 79. Jedna z obronnych bram miejskich w Lewoczy.

mi turni coraz to silniej błękitniejące niebiosa. Widać „syćkie wirchy” od Szalonego w Bielskich aż po zielonkawo-szarą piramidę Osobitej. W tym chaosie mgieł i w tem niesamowitem oświetleniu wielkiej, czerwonej tarczy słonecznej, która tylko co wychynęła z lewej strony, przez chwilę Tatry przestają być czemś rzeczywistym i czynią wrażenie widmowej zjawy z jakiegoś nowoodkrytego przez nas wymiaru...

Ruszamy w dalszą drogę. Teraz już nie „na dziko” przez obszerne, pełne uroku samotności hale, lecz drogami za czerwonymi znakami, wymalowanymi starannie, począwszy od widocznego niżej na Kowańcu schroniska Polsk. Tow. Tatrzańkiego. Droga prowadzi trawiastymi pagórami Gorców, którymi maszerujemy ku Krościenku, następnemu etapowi naszej drogi.

Ze szczytu Turbacza do Krościenka wędrowaliśmy od 4-tej zrana do 10-tej wieczorem, wliczając w to oczywiście parogodzinne obiadowo-podwieczorkowe „wagary”. Przez cały ten czas nie opuszczała nas cudowna wiecznie

zmienna, zależnie od pozycji słońca, zjawia Tatr, rysująca się na południowym horyzoncie.

W Gorcach podąża się przez ogromne państwa górskie o charakterze alpejskim, kojące samotnego wędrowca niezamąconą niczym ciszą. Nieliczne tylko szałas są zamieszkałe przez juhasów z pobliskich wiosek. O jakieś 700 m. niżej z odległości mniej więcej 3—4 km. dolatuje tu od czasu do czasu słaby ryk syren samochodowych, wydający się tutaj dziwnym anachronizmem. Ciągnie się tam, niezmiernie w sezonie letnim uczęszczany szlak Nowy-Targ—Szczawnica. Dziesiątki aut, autobusów i pojazdów przewijają się tą dobrze utrzymaną, lecz lśniąco przeraźliwie wapienną bielą, szosą. Malownicza ścieżyna w kierunku Ochotnicy zmusza nas do znacznej straty wysokości. Biegnijmy szybko wdół to wśród powykrzywianych cudacznie buków, to znów pomiędzy starannie uprawnymi poletkami gruli, jarcu i owsa. Do wsi nie zachodzimy, bo czerwone znaki przecinają tylko białą szarfę drogi i wspinają się

odrazu na Lubań. Teraz dopiero tracimy z oczu na dłuższy czas promienną, rozedrganą w lipcowym słońcu dal. Zapuszczamy się w czarowną krainę jodeł, buków i klonów. Przedewszystkiem jednak buków o zachwycających srebrnych ciałach, kąpiących się w zielonkawym świetle wilgotnego, tajemniczego chłodu praboru. Przypomina się „Jak było drzewiej” Orkana, którego osiedle tai się het za nami w Gorcach. Drogę wyznakowano świetnie i przeprowadzono w sposób, ukazujący turyście najbardziej malownicze zakątki. Niestety jednak około 25% z wielką starannością wymalowanych znaków zniszczyły z przerażającą systematycznością barbarzyńskie ręce. Zdziwiająca jest ta ciemnota ludności, żyjącej w pobliżu wielkich uzdrowisk i stacyj klimatycznych, mogącej więc już chyba zrozumieć, jaką korzyścią jest dla niej wzmagający się ruch turystyczny. Mam wrażenie, że jest to w trzech czwartych winą pastuchów w wieku szkolnym. Przydałoby się doprawdy, by Tow. Tatrzańskie zwróciło się do odpowiednich władz szkolnych z prośbą, aby nauczycielstwo wytłumaczyło swej młodzieży, jak głupią i bezmyślną jest tego rodzaju zabawa.

* * *

Nocleg w Krościenku, a raczej między Krościenkiem i Szczawnicą (koło mostu) był arcymiły. Skromne to schronisko odznacza się czystością i jest prowadzone starannie. O Piecinach niema co pisać, bo napisali już o nich wiele, a napiszą z pewnością jeszcze więcej... Przeszliśmy je pod włos, a raczej pod wodę, przyczem kręciło nam się nieco w głowie od pędzącego na nas przez parę godzin Dunajca. W nocy szalała wściekła burza, więc rozhukane fale pięknej rzeki przybrały barwę białej kawy z mlekiem, nakrapianej rtęcią i płynnym złotem, co potęgowało jeszcze więcej koloryt prostopadłych ścian skalnych. Pachniało ziołami i poburzowem słońcem... Nawet w Śmierdzonec (po czeskiej już stronie), gdzie mieliśmy wsiąść do autobusu, pachniało cudownie. Kwitły stare lipy i brzęczały pszczoły.

* * *

W autobusie nie tylko że nie pachniało, ale trudno było oddychać. Niechże tu zrobię bezpłatną reklamę „Polturowi” (Pol. Tow. Tur.,



Ryc. 80

Lewocza. Fragment z rynku.

Nowy Świat 57), i powiem mu, że jego t. zw. po polsku „autokary” są rozkoszą podniesioną do setnej potęgi wobec rozklekotanych autobusów czeskiej poczty, kursujących na szlaku Śmierdzonka, Stara Wieś, Biała Spiska, Kežmark, Lewocza. W takiej to bowiem zielonej, dzwoniącej, z niedającymi się nigdy otworzyć oknami, ruchomej skrzyni do tortur postanowiliśmy dotrzeć do siedziby „białej damy”. Właściwie mówiąc była to miniaturowa wieża Babel umieszczona w jeszcze mniejszej arce Noego na kółkach z pneumatykami.

A oto jej zawartość: parę chłopek Słowaczek, z dziećmi, które dostają mdłości + dwóch klnących zdaje się węgrov + kilku milczących żydów + wycieczka niemieckich harcerzy z Kežmarku, uzbrojonych w gitary i mandoliny + czeski żandarm + cygan ze skrzypcami + jeden Rusin + 4 Polaków. Wszystko to pędzi na łeb i szyję w temperaturze + 27° C. w cieniu. Na dachu łomoczą ciężkie pakunki, z siatek i wieszaków zlatują mokre torebki z wiktuałami, suszące się pieluszki i damskie kapelusze. Pomiedzy nogami stojących i siedzących podróżnych przesuwają się zdradliwe walizki. Za Starą Wsią drzwi do autobusu (jedyne dostępnego tlenu) zostają hermetycznie zakorkowane przez dwóch jowialnych księży-Słowaków, niestety pokazanej tuszy.

Szosa wiała się u stóp Frankowej góry, a potem pełźnie skomplikowanymi serpentynami na grzbiet Magóry Spiskiej. Zjazd ze Spadziku (1006 m.) zaczyna nabierać takiej szybkości, iż przez dłuższy czas myślimy, że hamulec odmówił posłuszeństwa. Kłótlivi Węgrzy zamilkli, natomiast milczący dotychczas Niemcy wykrzykują co chwila: „Ach Herr Je!” Karkołomna jazda kończy się dopiero koło „Słowieńskiej Wsi”. Wszystko w porządku, hamulec działa sprawnie, a szofer nie jest pijany (posądżaliśmy go już o to). Odtąd jedziemy wolno przez bardzo urodzajną lecz niezwykle monotonną i smętną okolicę. Z pedantyczną troskliwością uprawne pola zapowiadają bogaty plon. Jęczmień, owies, żyto, ziemniaki, a gdzieś tam nawet pszenica ciągną życiodajne soki z brunatno-czerwonej, gliniastej gleby.

W Białej Spiskiej, sporej miasteczku zaczynamy nareszcie oddychać, gdyż większość pa-



Ryc. 81. Lewocza. Wnętrze kościoła św. Jakóba.

sażerów opuściła nieszczęsny wehikuł. Jeszcze pół godziny i szyby autobusu dzwonią, ale jakoś uroczyście, na wyboistym bruku Kežmarku. Zacisze miasteczko wita nas polskim historycznym wieżyc. Urocznie spogląda ku nam starożytny, biały kościół farny, piękny barok kościoła popaulińskiego i surowy kościół ewangelicki, najciekawszy zabytek budownictwa drewnianego na Spiszu. Wśród starych domków i zaułków szarzejają smutne resztki zamku Zapolyów, Łaskich i Thökölych, uwieńczone polską renesansową attyką. Wśród kamiennych zębów i obronnych murów szemrze coś, co nigdy nie powróci. Blednąca rapsodja węgierska, w której dominującymi nutami są bunt Rakoczy'ego...

Po krótkim wypoczynku udamy się stąd do ostatecznego celu naszej wycieczki. Do bliźniaczej siostrzycy Kežmarku—Lewoczy. Pojedziemy starym szlakiem przez Czwartek. Szlakiem, którym w przeszłości kroczyły zbrojne zastępy. Bliźnięta toczyły ze sobą często

krwawe walki. Walki tak zawzięte, jak zawziętą była nienawiść Rakoczy'ego do Habsburgów.

* * *

Już sam dojazd do miasta robi niezwykle wrażenie, a szczególnie w tym momencie, gdy auto pędzące przez cały czas górzystą, romantyczną okolicą, wjeżdża nagle w cienisty tunel starej alei i wynurza się zeń u stóp starożytnego wału i muru obronnego. Wał jest porośnięty pachnącymi lipami, a z murów zwieszają się girlandy powoi, bluszczu i traw. Pomiędzy kruszącymi się zębami dawnych blanków, wśród walących się spatynowanych cegieł wyrastają nawet gdzieś spore drzewka, a wszędzie pełno dzikiego kwiecica i szmaragdowych ziół. Całe miasto spoczywa w tym czarno-zielonym pierścieniu dawnych fortyfikacji, ciche i zadumane pod koroną malachitowych wieżyc, dokoła których migają śnieżnobiałe stadka gołębi.

Dostać się do środka można tylko przez jedną z dwunastu doskonale zakonserwowanych baszt - bram obronnych. Dudnią tajemniczo łukowate sklepienia. Przewijamy się przez wąziutką średniowieczną uliczkę, gdzie domy mają najwyżej cztery okna frontu i nagle lądujemy, jakgdyby auto nasze było „maszyną czasu” Wells'a, w bardzo odległej przeszłości.

Stoimy na środku słonecznego rynku sławetnego miasta Lewoczy, założonego jeszcze w 1245 r. po najeździe Tatarów. Stoimy tuż pod wspianym ratuszem, a właściwie mó-

wiąc, pomiędzy nim a największym na Śpiszu kościołem św. Jakóba. Biela się stare, wydeptane płyty kamienne, pamiętające jeszcze uroczyste zjazdy jagiellońskie i wystawne turnieje, którymi przypieczętowano zbratanie się polsko-węgiersko-czeskie. Dzwoniły na tych kamieniach ostrogi Władysława Jagiełły, Macieja Korwina, Jana Olbrachta, Piotra Kmity, Stefana Batorego i Jerzego Zapolyci. Nie w smak szło to wszystko Habsburgom...

Dokoła nas wieniec stylowych kamienic średniowiecznych o przedziwnych, szlachetnie rzeźbionych frontonach... Właściwie mówiąc stoimy na szczycie wzgórza, z którego aż wdół do murów spływa ciche i senne dziś miasteczko. Gdyby nie nasze auto i druty instalacji elektrycznych zmogłaby nas ułuda dawności. Tutaj w obrębie murów niema żadnego komina fabrycznego, ani też nowoczesnych budynków. Koszary, nowe domy i elektrownia—wszystko to skupiło się poza murami w przedmieściu leżącym na wschód u stóp lewockiego wzgórza. Aż tu na rynek dolatuje zapach pól i lasów, zieleniejących na sąsiadujących z miastem wzgórzach. Wczesnym rankiem, gdy wstaje słońceczko, a nie dudnią jeszcze blaszanki mleczarek i wozy z jarzynami, słyhać może podzwanianie skowronka na jutrznię...

Przed rosnącym gwałtownie żarem lipcowym uciekamy do kościoła św. Jakóba (Gotyk z XV w.). I oto jesteśmy w pachnącym kadzidłem chłodzie, oszołomieni cudownym czarem gotyku... Wszystko prześwieciła promieniująca aż z Krakowa indywidualność Wita Stwosza, która rękami jednego z najzdolniejszych swych uczniów — Pawła z Lewoczy—kazała wyrzeźbić większość tych barwnych, pozłocistych ołtarzy skrzydłowych. Jest ich aż osiem (na ogólną liczbę 15) ale wszystkie bije swym majestatem 19 metr. ołtarz główny, sięgający do samego sklepienia strzelistymi, gotyckimi igłami. Najwięcej jednak chwytają za serca swym szczerym sentymentem dwie rzeźby w prawej nawie w t. zw. ołtarzu



Ryc. 82.

Ratusz w Lewoczy.

Csákych: Matka Boska o słodkiej, dziewczęcej twarzy i klęczący przed nią z wyrazem ogromnego skupienia i czci pasterz, który jest poprostu portretem typowego polskiego górala. Trudno opisywać szczegółowo wszystkie te arcydzieła, które mieści jeszcze w sobie kościół św. Jakóba... Freski średniowieczne gotyckie stalle, tkaniny, pozłociste monstrancje i kielichy emaljowane mistrza Szillay'ego tworzą jedną harmonijną całość, nie nużąc wzroku, jak to się często dzieje z ekspozycjami muzealnymi.

Ratusz, który zaliczono do najpiękniejszych budynków renesansowych na Węgrzech, porządkuje nas przede wszystkim urokiem swej architektury, mającej w sobie jeszcze wiele cech późnego gotyku. Wspaniała loggia i malowidła na fasadzie są prawdziwym pieprzkiem piękności tego i tak już zachwycającego budynku. A nie zapominajmy o tym, że odbijają się one w oknach starych renesansowych i barokowych kamienic.

Portale, attyki renesansowe, kraty i balustrady kute kunsztownie mówią o wysokim poczuciu estetyki u dawnych mieszczan lewoczych. A ileż uroku w tajemniczym cieniu dziedzińców włoskiego typu renesansowego! Z białych galeryjek zwisają warkocze bluszczy, a pomiędzy starymi płytami ścielą się aksamitne poduszeczki mchu.

Fotografujemy z zapalem, uwijając się po najrozmaitszych zaułkach. Bawi nas szczególnie to, że ostatecznie każda ulica tego koncentrycznie zbudowanego miasteczka, doprowadza nas do muru obronnego. Przejdzie człowiek paręset metrów i bęc nosem w mur...

Dają nam dobry obiad w zacisznej restauracji pod żebrowanymi starymi sklepieniami. Czas, jaki nam pozostał jeszcze do odjazdu postanawiamy spędzić na spokojnym spacerku dokoła miasta po zewnętrznej stronie murów, ślubując przytem sobie, że nie będziemy więcej załazić do żadnych „wnętrz”.

Idziemy cienistym wałem. Pachną lipy. Radują wzrok ścielące się u stóp wzgórze, jak najpiękniejsze makaty soczyste łąki oraz porośnięte jodłami odległe pagóry. Mury lewocockie biegną podwójnym pierścieniem; pomiędzy ścianami tego pierścienia pyszną się w słońcu zaciszne sady i ogrody warzywne. Wszędzie



Ryc. 83. Podwórze starej kamienicy w Lewoczy.

pełno furteczek w tych czarownych, starych murach — gdzieniegdzie drzemią malutkie, czyściutkie domki, jakgdyby zbudowane z piernika. Zaglądamy do tajemniczych sadów przez szpary i dziurki od klucza. Pachnie prawdziwym latem, tem dobrem, znanem latem z dzieciennych lat. Atmosfera bajek Andersen'a i Grimm'a oraz przedziwnych rysunków Rackham'a i Dulac'a. Tylko elfów nie widać. Śpią może zmęczone upałem w cichym gąszczu traw.

I nas może sen. Siadamy na ławeczce pod lipą i... milczymy. I w tem milczeniu przychodzi nam jednocześnie na myśl, że dużo jest wspólnego pomiędzy Lewoczą a Krakowem. Ale tym Krakowem z przed wielu dziesiątków lat, kiedy to jeszcze nie ryczały syreny samochodowe i nie rozdierały uszu dzwonki tramwajowe. Prawda, że niema tu Wawelu ani Marjackiego kościoła, ale wszędzie ta sama kultura mieszczańskiego średniowiecza, dumna, pełna godności i pragnąca zostawić po sobie świadectwo. Ci sami ludzie, z pośród których

wyszedł genjusz rzeźbiarski, co, jak świadczy stary dokument, tak sam o sobie i o swoim pochodzeniu napisał: „Veit Stvosz, ein Pole aus Krakau”. I w tem właśnie tkwi zasadnicza różnica pomiędzy Lewoczą a Krakowem, że już za czasów Stvosza byli Polacy „aus Krakau”, podczas gdy mieszczenie lewoccy są po dziś dzień zagorzałymi Niemcami.

Ogarnia nas niesamowity czar przeszłości. W obawie uśnięcia uciekamy z naszej ławki i ruszamy leniwie dalej...

Stare drzewa... Szczerbaty mur ceglany... Wnęka... Kamienne schodki... Nad schodkami drzwiczki, które biała postać niewieścia usiłuje otworzyć wielkim kluczem... Uśmiecha się chytrze. Tak, to ona zdradziła miasto, wydając

je wojskom austryjackim. To ona, bohaterka powieści Jokay'a, czytanej pokryjomu w dzieciństwie. Los ją pokarał, straszy po dzień dzisiejszy w cichem, czystem miasteczku. O! Lewocza jest naprawdę miastem duchów. Wy-malowano „białą damę” na wieczną zdrady pamiątkę na tych drzwiach, drzwi te sfotografowano i można sobie kupić pocztówkę z ową zdradziecką panią. Lecz malowidło malowidłem a duchy duchami... Czyż trafiłbym do tego zakłętego miasta z bajki i oglądał jego dziwne zakątki, gdyby nie wołający z oddali urok „lőcsei fehér assony”, co znaczy po węgiersku „białej damy” z Lewoczy. Napewno nie!

Edmund Strąziński.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

KRONIKA KRAJOZNAWCZA.

Sprawa ustalenia nazw miejscowości w Polsce. W dniu 15 stycznia b. r. w Min. Spr. Wewn. odbyło się pierwsze posiedzenie Komisji przy Ministerstwie Spraw Wewn. dla opracowania wniosków w sprawie ustalenia urzędowej nomenklatury miejscowości w Polsce (Komisja została utworzona na zasadzie uchwały Rady Ministrów z dnia 31 maja 1929 r.). Obradom przewodniczył Dyrektor Depart. I Min. Spr. Wewn. Zygm. Zabierzowski, zastępca przewodn. był radca min. Włodzim. Konkolnik. Udział w obradach wzięli: delegaci Polsk. Akad. Umiejętności: Prof. dr. Kaz. Nitsch i doc. Ks. dr. Stanisł. Kosierowski; delegat Rządu Rzeczypospolitej do polsko-czechosłowackich rokowań granicznych prof. dr. Walerj Goetel, delegat Gł. Urz. Statyst. dr. Rajmund Buławski, delegat Wojskowego Instytutu Geograficznego Por. Korp. Geogr. Wiktor Romanow (członek Zarządu Oddziału Warsz. Polsk. Tow. Krajozn.) oraz Kartograf W.I.G. dr. Wład. Deszczka; delegat Min. W.R. i O.P. wizytator Michał Siwak (członek Rady Głównej Pol. Tow. Krajozn.); delegat Min. Pocz. i Tel. radca Jan Tyc; sekretarką zebrania była Asesor Min. Spr. Wewn. Jadwiga Scheinkönig.

Po wysłuchaniu referatu sprawozdawczego (radca Konkolnik) oraz referatów delegatów Główn. Urz. Statyst., Wojsk. Inst. Geogr. i Min. Pocz. i Tel. odbyła się dłuższa dyskusja w której wyniki powzięte zostały następujące uchwały:

Należy przeprowadzić gruntowną rewizję

wyказu miejscowości ogłoszonego w „Skorowidzu miejscowości Główn. Urz. Statyst.”. Dla Górnego Śląska i Ziemi Wileńskiej należy sporządzić zupełnie nowe wykazy nazw miejscowości.

Ustalono następującą kolejność opracowania poszczególnych dzielnic:

Najpierw mają być opracowane nazwy Ziemi Wileńskiej, Górnego Śląska oraz powiatów położonych wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej (ostatnie jest koniecznym ze względu na zobowiązanie Polski wobec Czechosłowacji). Następnie, kolejno, zostaną opracowane nazwy: województw wschodnich, województw centralnych i pozostałych powiatów województw południowych.

W miarę możności równolegle mogą być opracowane województwa zachodnie (pomorskie i poznańskie).

Ze względu na właściwości poszczególnych dzielnic sposób zbierania nazw przyjęto różny.

Komisja już na najbliższym posiedzeniu ustali nazwy wszystkich powiatów oraz nazwy miast (w formie rzeczownikowej — I i II przypadek oraz przymiotnikowej).

Uchwalono polecenie organom upoważnionym do zbierania nazw (urzędom wojew., powiat. i gmin.) powoływania do współpracy m. in. krajoznawców.

Obszary przeznaczone na Pograniczne Parki Narodowe (Tatry, Pieniny, Babia Góra, Czarnohora) powinny być specjalnie troskliwie opracowane pod względem toponomastycznym.

Postanowiono za pośrednictwem Min. Spraw Zagr. zaznajomić się z organizacją instytucji zbierających i ustalających nazwy miejscowe w Niemczech, Włoszech, Francji, Szwecji, Norwegji, Czechosłowacji i St. Zjednoczonych Am. Płn.

Na wniosek por. Romanowa uchwalono zaprosić do udziału w pracach Komisji prof. dr. St. Arnolda, który z inicjatywy Polsk. Tow. Krajoznawczego stanął na czele zorganizowa-

nia prac nad stworzeniem nowego słownika Geograficznego Rzeczypospolitej.

W końcu stwierdzono, że tak ważna i konieczna ze względu na potrzeby nauki, administracji i obrony państwa praca Komisji może być wtedy jedynie dokonana, jeśli na ten cel zostanie przeznaczona pewna dotacja pieniężna i niezbędny personel biurowy. Sprawa ta powinna znaleźć pomyślne załatwienie w naszych ciałach ustawodawczych. R.

Z PIŚMIENICTWA.

Stanisław Barabasz: Sztuka ludowa na Podhalu.
Część III. Witów. Lwów.—„Książnica Atlas” 1930.

Kiedy ukazała się pierwsza i druga część „Sztuki na Podhalu”, zawierająca materiały ze Spisza i Orawy, wyraziliśmy gorące życzenie pod adresem wydawców, aby i reszta cennych tek Stanisława Barabasza jak najrychlej opuściła zakłady graficzne „Książnicy-Atlasu”. Niewątpliwie wielkiemu miłośnikowi Podhala, prof. Eugenjuszowi Romerowi trzeba zawdzięczać, iż jako dyrektor „Książnicy” przyspieszył pojawienie się teki witowskiej, którą też jemu wdzięczny autor zadedykował. Mamy zatem oczekiwany „Witów”, zaopatrzone słowem wstępnym i zawierający 38 tablic, a ponoć na swoją kolej czeka „Dębno” ze swoim słynnym kościołem. Wolno więc i recenzentowi wyruszyć z komplemtem do wydawców, tem więcej, iż nową tekę wyłożono starannie, na doborowym papierze i w odpowiednim formacie.

Zwizyły ustęp autora poucza nas o sztuce witowskiej i informuje o przerażająco szybkim zanikaniu sztuki ludowej na góralszczyźnie. To, co dziś pozostało, jest zaledwie szczątkiem dawnej kultury artystycznej Podhala, częściowo samoistnej, częściowo zapożyczanej od sąsiednich narodów, w całości jednak składającej się na odrębną i charakterystyczną wartość. Zmienione warunki życia i zarobkowania, napływ miejskich elementów w postaci letników i rozwój Podhala w kierunku uzdrowiskowej gospodarki obrabowały podtatrzańską dziedzinę niemal doszczętnie z dawnego uroku. Teka Barabasza — to już archiwalne źródło. Nie istnieją dzisiaj te stare odrzwia i rysowane sosreby, które jeszcze dwadzieścia parę lat temu zdobyły witowskie chałupy, a których kunsztowne ornamenty utrwalił dla potomności ołówek autora, pracującego z inżynierską ścisłością, lub uwieczniła fotograficzna płyta. Charakterystyczne meble ustąpiły przed fabryczną przeciętnością i tandetą. Bogato cyfrowane łyżniki przeniosły się z góralskiej izby do muzeów. Staroświeckie Podhale kończy się na dobre. Dziś napróżnoby w Witowie zbierać taką tekę, jaką jakby tknięty nieomylnym przecuciem nadciągającej zagłady zebrał przed laty Barabasz. Poza doborem materiału i starannością w jego odtworzeniu właśnie w tej przewidującej pracy leży główna zasługa autora.

Bogactwo witowskiej sztuki ludowej uzupełnia nasze wiadomości o góralszczyźnie na zachód od Zakopanego ku Orawie, stąd też dla naukowych badań ma poważne znaczenie. Byłoby jeszcze koniecznym sięgnąć do Chochołowa, Ratułowa i innych wiosek, zgrupowanych w promieniu czarnodunajekkim, dla stwierdzenia na pograniczu podhalańsko-orawskim zasięgów form budowlanych i zdobniczego kunsztu. Zaczęta przez Barabasza praca, rzucająca już pewne światło na stosunki podhalańskie i orawskie, powinna znaleźć kontynuatorów w wymienionym pograniczu. I to jak najprędzej, póki nie zniknie i w tych wsiach stare budownictwo i sztuka zdobnicza. Słowo wstępne do witowskiej teki jest dostatecznym momentem pod adresem artystów i naukowych pracowników. Z.

Herbarz Rodzin Tatarskich w Polsce. Opracował Stanisław Dziadulewicz. Wilno 1929 in 4-o major. Str. XXX + 496.

Tatarami litewskimi czyli jak oni sami siebie nazywają „Muślimami”, zajmowano się u nas oddawna, że wspomnę choćby opracowania historyczne J. W. Bandtkiego, A. Muchlińskiego oraz badania antropologiczne Talko-Hryniewiczza. Muzułmanie ci, w stosunku do innych narodowości, składających dawną Rzpolitą, stanowili stosunkowo drobną grupę etnograficzną (około 14000), lecz nie mniej przeto ciekawą i ważną. Spotyka się ich na Litwie, w okolicach Wilna i Trok, już w końcu XIV stulecia, gdzie formują wyraźnie zarysowaną wysepkę ludnościową, pozbawioną wszelkiej łączności z macierzystymi koczowiskami swemi wśród stepów Czarnomorskich i Zawołżańskich. Otoczeni wokoło przez obce im morze ras słowiańskich i litewskich, pomimo pięciowiekowego oddalenia, zachowali oni poczucie swoje wyznanie i tradycję, pomimo, że języka ojczystego dawno już zapomnieli. Szczególniej uwydatniło się to ich atawistyczne usposobienie, w czasie ostatniej wojny światowej, gdy na czele wysiłków dążących do wskrzeszenia na ruinach caratu moskiewskiego, dawnych państw muzułmańskich Krymu i Azerbejdżanu, stanęli właśnie Tatarzy litewscy.

Obecnie Muślimowie, choć żyją pomieszani z ludnością litewską, polską i białorusinami, zachowali pewien swoisty typ etnograficzny. Bo choć pomiędzy ni-

mi istnieje dotąd tradycja o różnicy pochodzenia: kniaziów, mirzów i begów — od turańczyków z przewagą krwi aryjskiej, pospólstwa zaś nogajskiego od mongolów-niewolników, to jednak badania naukowe dowiodły wspólności ich cech fizycznych. Stanowią je: budowa ciała kształtna, wzrost średni, kości policzkowe wydätne, oczy wąskie i ciemne, przeważnie skośne, cera zwłaszcza u kobiet ciemnawa, a wymiary kranjologiczne czaszki przypominają tatarów zawołzańskich. Innych cech etnograficznych, jak: ubiorów, sprzętów i zwyczajów odrębnych — napróżno u nich szukać. Tylko domy swe mieszkalne ozdabiają u szczytów półksiężycami. Modlą się w meczetach, znajdujących się w każdej parafji, a jest ich wszystkich do dwudziestu. Na czele każdej z nich stoi mułła, wybierany przez parafjan z pośród ludzi statecznych i znających choć cokolwiek język arabski.

Każdemu kto bierze do ręki tak poważną treścią swoją i rozmiarami księgę p. Dziadulewicza, mimowolnie nasuwa się pytanie, jakim to sposobem i dzięki czemu, w ustroju szlacheckim dawnej Rzplitej, zajęli tatarzy litewscy tak poczesne miejsce, że aż nimi zajmuje się heraldyk polski?

Otóż według wyników badań autora, Mułlimi znacznego rodu posiłkujący ze swymi drużynami Gedymina lub Witolda, otrzymywali za swe krwawe wysługi nadania ziemi prawem lennem od wielkich książąt litewskich. Taki tatarzyn obdarowany gruntami, starał się przede wszystkim o uzyskanie przywileju bojarstwa, z prawem swobodnego rozporządzania swoim majątkiem. A gdy nadeszła wiekopomna Unja Lubelska, zarówno bojarzy litewscy, jak i tatarskiego pochodzenia, zrównani zostali w prawach wolnościowych ze szlachtą pol-

ską. Z czasem przyjęcie chrześcijaństwa zatarło do reszty różnice plemienne.

Cały ogrom materiału zawarty w Herbarzu, podzielił autor na dwie części. Pierwsza objęła rodziny po dziś dzień muzułmańskie, druga zaś te, które w różnych czasach przyjęły chrzest św. Wskutek tego wynikły dwie części nierównomierne, pierwsza o kilka razy obszerniejsza od drugiej, co tłumaczy się obfitością materiału heraldycznego, dotyczącego tatarów-muzułman, którego dotychczas nikt nie zużytkował. Przeciwnie, pisząc o tatarach chrześcijanach, trzeba było opracować ich pierwotne dzieje, gdy późniejsze znalazły już miejsce w herbarzach naszych.

W szeregu licznych, bo przeszło sześciuset nazwisk, natrafiamy na: Sienkiewiczów, Korzonów, Łukaszińskich, Grocholskich i wielu in., których potomkowie złożyli bogaty plon zasług do skarbcza narodowego. Uzupełniają całość skrzętnie opracowane przez dr. Jakóba Szynkiewicza tłumaczenia słów i nazw orientalistycznych oraz zestawione przez autora spisy gniazd rodzin tatarskich, a także kilkanaście tablic genealogicznych. Tekst objaśniają rysunki herbów wykonane przez Włodzimierza Ettel. Okładkę artystycznie skomponowaną przez malarza Jerzego Hoppena, ozdabiają dwie postacie tatarów litewskich w charakterystycznych umundurowaniach wojsk dawnej Rzplitej i Księstwa Warszawskiego.

Tem ze wszechmiar poważnem i wartościowem dziełem heraldycznym, zdobywa sobie ceniony badacz naszej przeszłości, p. Stanisław Dziadulewicz, jedną więcej zasługę na polu nauki ojczyznej.

M. R. Witanowski.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

Stosunek P. T. K. do turystyki. Rada Główna P. T. K. wystosowała do P. Prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego następujące pismo:

Wielce Szanowny Panie Jenerale!

W związku z podjętą przez W. Szanownego Pana Jenerała w r. ub. inicjatywą wzmoczenia zainteresowań społecznych dla gospodarczego znaczenia turystyki i wysunięciem zasady łączenia się Towarzystw o charakterze krajoznawczym i turystycznym, aby przez wzmoczenie wysiłków osiągnąć możliwie wydätne rezultaty, Rada Główna Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — Touring Klubu, jako pierwszego Towarzystwa, które uznało inicjatywę podjętą za nader ważną, a zasadę przyjętą za najzupełniej słuszną, uważa za wskazane przedstawić przebieg tej sprawy i oświetlić swoje stanowisko.

W styczniu r. 1929, p. Prezes Banku Gospodarstwa Krajowego zwołał konferencję Towarzystw Turystycznych i Krajoznawczych. Na konferencji tej, wobec wzmoczonego ruchu po Polsce krajowego i zagranicznego w związku z P. W. K., wysunięta została zasada konieczności łączenia się istniejących Towarzystw, aby

nie tylko opanować wzmoczony ruch turystyczny, ale aby przez wyzyskanie konjunktury stworzyć mocne podstawy dla stałego i właściwego rozwoju gospodarki turystycznej w Polsce. Zbierane były deklaracje przedstawicieli Towarzystw w tej sprawie. Obecne na posiedzeniu Prezydium P. T. K., orientując się dobrze w stosunkach panujących, ustosunkowało się do sprawy rzeczowo, uznało zasadę za nader potrzebną i słuszną, jakkolwiek zwracało uwagę na warunki życiowe, z którymi trzeba się liczyć, aby, budując rzecz nową i niezbyt pewną, nie naruszyć dorobku trwałego i posiadającego mocne fundamenty. Po zapoznaniu się bliższem z dorobkiem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, P. Prezes Banku Gosp. Kraj. uznał wielkie walory prowadzonej przez nie pracy, wysunął konieczność niezwłocznego przystąpienia do budowy domu Towarzystwa i przez swego przedstawiciela prowadził akcję w tym kierunku, aby szybko zbudowany dom P. T. K. stał się ośrodkiem ruchu krajoznawczego i turystycznego w Polsce. Jednocześnie położony został nacisk na konieczność najrychlejszego przeprowadzenia połączenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego

z niewielką i młodą organizacją Polskiego Touring Klubu.

Z ramienia obydwóch organizacji pp. dr. M. Orłowicz i Al. Patkowski omówili zasady nowego statutu. Wynikły pewne wątpliwości co do nazwy jedynie, wreszcie w piśmie z dn. 21 marca 1929 r. L. 352/M. zgodził się Polski Touring Klub, że nazwa ta ma brzmieć „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze — Polski Touring Klub”.

Żadnych kwestyj nie wywołała sprawa celów, najzupełniej zgodnie określona została współrzędność i współzależność krajoznawstwa i turystyki.

Na Zjazd Delegatów P. T. K. w dn. 7 kwietnia r. ub. zostali zaproszeni członkowie Polskiego Touring Klubu i w ich obecności, bez żadnych ze strony Polskiego Touring Klubu zastrzeżeń, jak to stwierdził przewodniczący Zjazdu Delegatów P. T. K. i prezes Związku Towarzystw Turystycznych p. S. Osiecki na Walnem Zgromadzeniu tegoż Związku w dn. 23 lutego r. b. nawet w stosunku do propozycji, zgłoszonej na Zjeździe, aby ze względów stylistycznych używać nazwy „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze — Touring Klub”, statut został przyjęty, a następnie zalegalizowany w Komisarjacie Rządu pod Nr. 806 w dniu 11 czerwca 1929 r.

Na posiedzeniu nowej Rady Głównej w dn. 19 kwietnia 1929 r. p. dr. M. Orłowicz, powołany na wiceprezesa, jako przedstawiciel Polskiego Touring Klubu, zgłosił przyjęte jednomyślnie wnioski co do przeprowadzenia w ciągu miesięcy, najdalej czerwca i lipca, połączeń Oddziałów, wprowadzenie nowych blankietów, znaczka i t. d. oraz planu działania w zakresie turystyki. Wnioski te zostały opublikowane w Nr. 13 „Ziemi” z dn. 1 lipca 1929 r., a bezpośrednio po posiedzeniu Rady poszły pisma do Oddziałów Pol. Tow. Krajozn. i b. Touring Klubu co do przystąpienia do połączenia i nowej pracy. Jednocześnie w sprawozdaniu Związku Polskich Towarzystw Turystycznych z działalności za czas od 5.II. 1928 — 17.III. 1929, zredagowane przez d-ra M. Orłowicza, ukazało się następujące przedstawienie omawianej sprawy:

„Statut zjednoczonego Polskiego Tow. Krajoznawczego — Polskiego Touring Klubu, opracowany przez dr. Orłowicza w porozumieniu z prof. Patkovskim, został na posiedzeniu w dn. 11 stycznia zaakceptowany przez Radę Główną Polskiego Tow. Krajoznawczego, a ostatecznie został on przyjęty na Zjeździe Delegatów tegoż towarzystwa, który odbył się w Warszawie w dn. 7 kwietnia r. b. Polski Touring Klub wyraził również gotowość unifikacji na podstawie zmienionego w ten sposób statutu, a uchwałą odnośną zaakceptowało Walne Zgromadzenie Klubu, odbyte w dn. 14 marca 1929 r. Po dokonaniu unifikacji, która przypuszczalnie nastąpi w ciągu czerwca lub lipca, Polski Touring Klub przestanie istnieć jako samodzielne towarzystwo.

Przeprowadzoną w ten sposób unifikację Pol. Tow. Krajoznawczego i Polskiego Touring Klubu, która jest przypuszczalnie zawiązkiem unifikacji wszystkich Towarzystw turystyki czynnej w Polsce, uważa Zarząd Z. P. T. T. za jeden z najważniejszych dorobków swej

działalności w pierwszym roku istnienia Związku i przypuszcza, że korzyści tej unifikacji okażą się w niedługim czasie zarówno na terenie turystyki wewnątrz kraju, jak i w stosunkach z zagranicznymi organizacjami turystycznymi”.

W artykule, drukowanym w księdze Ilustrowanego Kurjera Codziennego p. t. „Dziesięciolecie Odrodzonej Polski”, dr. M. Orłowicz w analogiczny sposób oświetlił fakt połączenia się dwóch Towarzystw.

Tymczasem, wbrew temu wszystkim, samodzielną działalność Polskiego Touring Klubu w osobie jego dyrektora była kontytuowana, a w związku z nią zaczęły się żmudne i uporczywe wysuwania formalnych spraw przez przedstawiciela Polskiego Touring Klubu, w celu paraliżowania realizacji wniosków d-ra M. Orłowicza przyjętych przez Radę Główną P. T. K. Cały ten anormalny stan rzeczy zmusił Radę Główną do zwrócenia się do P. Prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego, jako inicjatora akcji łączenia się Towarzystw z prośbą w piśmie z dn. 23 listopada 1929 r. L. R.—1022/29 o wyjaśnienie dwóch spraw: 1) utrzymania zasady łączenia się Towarzystw, 2) wytłumaczenia powodów, dlaczego, mimo połączenia, kontytuowana jest samodzielna działalność Polskiego Touring Klubu. Konferencję na ten temat zwołał P. Prezes Banku Gospodarstwa Krajowego w dn. 5 lutego r. b., konferencja nie została zakończona i wyznaczony został termin następnej na dzień 11-go lutego. Jednakowoż termin wyznaczony został odwołany, a w dn. 6 marca r. b. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze-Touring Klub otrzymał od Zarządu Polskiego Touring Klubu pismo z dn. 5.III r. b. L. 188/30/M., w którym: 1) stwierdzono, że b. Polski Touring Klub nie uważał się za sfuzjowanego na podstawie zgodnie przyjętego nowego statutu w dn. 7 kwietnia 1929 roku, mimo ogłoszonej przez przedstawiciela Polskiego Touring Klubu w sprawozdaniu Związku Polskich Towarzystw enuncjacji, że „w dn. 7 kwietnia 1929 r. Polski Touring Klub wyraził również gotowość unifikacji na podstawie zmienionego w ten sposób statutu, a uchwałą odnośną zaakceptowało Walne Zgromadzenie Klubu, odbyte w dn. 14 marca 1929 r.”, że po lipcu 1929 r. „Polski Touring Klub przestaje istnieć jako samodzielne Towarzystwo” i że unifikację tę uważa się za „związek unifikacji wszystkich towarzystw turystyki czynnej w Polsce”.

Pismo Polskiego Touring Klubu z dn. 5.III 1930 r. nie tylko zaprzeczyło wyżej przytoczonej enuncjacji własnej, zdezawuowało uchwałą swoją z 14 marca 1929, ale nadto odbyło według przytoczonego pisma Walne Zebranie w dn. 16 stycznia 1930 r., na którym powzięto uchwałę następującą:

„Uchwalono jednogłośnie przy jednym głosie wstrzymującym się wniosek zaproponowany przez p. Modzelewskiego (imieniem Sekcji Samochodowej): Walne Zebranie uważa fuzję z Polskiem Towarzystwem Krajoznawczem w obecnej chwili za niewskazaną. Poza tem w dyskusji zostało zaznaczone, że gdyby w przyszłości Pol. Tow. Krajoznawcze zechciało się połączyć z Pol. Touring Klubem, to fuzja ta musiałaby być przeprowadzona na zupełnie innych zasadach”.

2) Polski Touring Klub uznał, że konferencja u P. Prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego w dn. 5 lutego b. r. była oficjalnym zakomunikowaniem o niedość do skutku połączenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — Touring Klubu z Polskim Touring Klubem.

Pismo przytoczone Rada Główna Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — Touring Klubu przyjęła do wiadomości i przeszła nad sprawą do porządku dziennego.

Przebieg powyższy sprawy w dosłownym brzmieniu drukujemy w numerze „Ziemi”, jaki wyjdzie przed Zjazdem Delegatów Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — Touring Klubu w dn. 6 kwietnia b. r., w celu wyjaśnienia, gdzie należy szukać całego organizacyjnego zamieszania, jakie wynikło i wynikać będzie z powodu nieożądane stanowiska Polskiego Touring Klubu.

Jednocześnie pozwalamy sobie, wobec niedość do skutku konferencji w dn. 11 lutego b. r., wyjaśnić nasze stanowisko: Rada Główna Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — Touring Klubu dlatego godziła się na dokonanie fuzji i przeprowadzenie zmiany statutu, że:

1) uznawała i uznaje słuszność zasady skupienia wysiłków w kierunku opanowania już i tak mocno niezdrożych początków rozwoju gospodarczego turystyki w Polsce,

2) przez zmianę statutu swego podkreślić chciała wagę, jaką przypisuje w działalności krajoznawczej turystyce, jako społecznie niewyżytkowanemu czynnikowi gospodarczemu w Polsce.

Nie jest rzeczą istotną dla P. T. K. sprawa wcielenia młodej agendy o charakterze biura turystycznego, jaką był i jest Polski Touring Klub.

Sprawa gospodarczego rozwoju turystyki, zdaniem Rady Głównej P. T. K., opierać się będzie o racjonalnie postawiony, energicznie, fachowo, uczciwie, ze zrozumieniem roli propagandy zewnętrznej i wewnętrznej Polski, prowadzony rozwój biur turystycznych.

Pod tym względem dzieją się już rzeczy najzupełniej anormalne. Powstają coraz nowe biura, prowadzone przez jednostki nieodpowiedzialne, wytwarza się konkurencja o efekcie tem bardziej ujemnym, że przenosi się na teren zagraniczny.

Polski Touring Klub, jako biuro turystyczne staje w szeregu konkurujących ze sobą biur turystycznych, co pociągnie za sobą tem większe komplikacje, że Polski Touring Klub nosić będzie cechy instytucji społecznej.

Zdaniem naszym, powołaniem instytucji społecznych krajoznawczo-turystycznych jest inicjatywa, nadzór i kontrola, a nawet egzekutywa w stosunku do biur turystycznych, zorganizowanych na zasadach czyśo handlowych.

Jest rzeczą wskazaną uzależnienie biur turystycznych od Towarzystw społecznych dla zapewnienia przewagi społeczno-państwowego interesu tej ważnej nie tylko gospodarczej ale i propagandowej pracy nad interesami jednostek, które zazwyczaj prowadzą na niebezpieczne manowce.

W imię powyższych zasad Rada Główna Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — Touring Klubu uważa za nader poważne nieporozumienie ujawnioną na konferencji w dn. 5 lutego b. r. zasadę podporządkowania krajoznawstwa, które jest ruchem społecznym, turystyce, gdyż ta jest funkcją gospodarczą i jako taka opiera się musi na zasadach handlowych, nowoczesnej organizacji biur turystycznych, nadzorowanych i kontrolowanych z jednej strony, a popieranym w miarę wartości z drugiej.

Rada Główna Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego—Touring Klubu uważa powyższą tendencję konferencji z dn. 5 lutego z tego względu za nieporozumienie, że nie jest jej znana taka gdziekolwiek przyjęta forma, aby instytucje, w których wchodzi w grę prywatny interes pieniężny, zarządzały lub panowały nad interesami dobra społecznego i państwowego.

Powyższe stanowisko przesądza sprawę stosunku Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego—Touring Klubu do Polskiego Touring Klubu na przyszłość.

Co do wywołania zamieszania organizacyjnego zwłaszcza na prowincji, cierpiącej stale na brak bezinteresownych ludzi do pracy, w stosunkach z zagranicą, zmarnowania bezcelowego czasu i zapasu energii, wskutek przebiegu omawianej sprawy, sąd pozostawiamy naszemu Zjazdowi Delegatów oraz Związkowi Polskich Towarzystw Turystycznych, do którego się w tej sprawie zwracamy.

Z wysokim poważaniem
(—) Z *Stomiński*, prezes. (—) *Al. Patkowski*, viceprezes. (—) *St. Lenartowicz*, sekretarz.

Oddział Warszawski Pol. Tow. Kraj. — Touring Klubu organizuje dn. 13 kwietnia b. r. o godz. 10 rano w sali Pol. Tow. Kraj. (Warszawa, Karowa 31) Zjazd Opiekunów wszelkich Kół szkolnych. Celem Zjazdu jest omówienie pracy krajoznawczej wśród uczącej się młodzieży i zorganizowanie Okręgowego Koła Opiekunów Kół Krajoznawczych na Okrąg Warsz.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał II.

TREŚĆ: *Wacław Olszewicz:* Dzieło krajoznawcze Edwarda Maliszewskiego. — *Stanisław Warcholik:* Na „Trójkacie Zjednoczenia”. — *Edmund Strążyński:* Włóczęgi krajoznawcze opowiadają... Wizyta u „Białej Damy z Lewoczy”. — *Wiadomości bieżące:* Kronika krajoznawcza — Z piśmiennictwa. — Sprawy Towarzystwa.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1.40

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Redaktorka: Dr. Regina Danysz-Fleszarowa. Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Druk. Jan Świetoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34. Tel. 407-50